dla czytelni
do 27 X 1948

bk. stron 3–10

Cena 25 zł.

KUŹNICA

Rok IV | Łódź, 24 października 1948 r. | Nr 43 (164)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

„Ludzie sami tworzą swoją historię, ale nie tworzą jej dowolnie, nie w wybranych przez siebie okolicznościach, lecz w takich, w jakich się bezpośrednio znaleźli, jakie im zostały dane i przekazane".

Karol Marks

TREŚĆ NUMERU:

MIECZYSŁAW JASTRUN — **W KRĘGU MŁODEJ POLSKI**

JÓZEF KOWALCZYK — **ROK PRZEŁOMU (II)**

JAN HUSZCZA — **WIERSZE**

I. LESZNIEW — **MICHAŁ SZOŁOCHOW**

ADAM WAŻYK — **CZYŻBY SPÓR O SŁOWA**

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI — **DOBRZE**

W. SMIRNOW — **KOŁCHOZ**

KANDYD — **SZKOŁA WALKI**

CHARLES BAUDELAIRE — **O MALARSTWIE**

JOANNA GUZE — **O KRYTYCE MALARSKIEJ CHARLES BAUDELAIRE'A**

ERWIN AXER — **ROZMOWA O TEATRZE**

if **PODRĘCZNIK PRZYSZŁEGO KAPITALISTY**

JAN ŚPIEWAK — **SATYRA OKUPACYJNA**

PRZEGLĄD PRASY

KORESPONDENCJA

NOTY

MIECZYSŁAW JASTRUN

W KRĘGU LEGENDY MŁODEJ POLSKI *)

Boy, pogromca fałszywych legend, tkwił zbyt silnie w kręgu legendy Młodej Polski, by mógł się od jej uroków uwolnić. Przeczytajmy tylko, co pisze o Tetmajerze, Kasprowiczu czy Przybyszewskim. Jego wstęp do antologii Młodej Polski, świetnie i sugestywnie napisany, należy—obok prac Feldmana, Ostapa Ortwina, Kołaczkowskiego i wielu innych—do tego niezwykle zgodnego chóru głosów pochwalnych, jakie towarzyszyły pojawianiu się dzieł ówczesnych pisarzy. Wobec tego chóru głosy sprzeciwu były słabe i mało autorytatywne. W żadnym innym okresie naszej literatury nie było tak bogatego zespołu prawie że jednobrzmiących opinii. Wystarczy przypomnieć stosunek krytyki do Słowackiego i Norwida, przerastających przecież o głowę wszystkich poetów Młodej Polski razem wziętych. Boyowi nazbyt ten okres jest bliski, to zrozumiałe, młodość jego upłynęła wśród tych ludzi, których nazwano „olbrzymami", drwiąc z ich „pomniejszycieli". Autor „Brązowników" nie próbuje nawet tym razem przeprowadzić rewizji sądów ustalonych przez krytyków owego czasu i przekazanych wraz z dobrem inwentarza całej późniejszej polonistyce. Boy — racjonalista ponosi tu na każdej prawie stronicy klęskę. Zwycięzcę wielu legend zwyciężyła legenda Młodej Polski.

Była ona rzeczywiście silna i sugestywna. Przypominam sobie, jak ojciec mój, który uczęszczał był do tego samego gimnazjum co Franciszek Nowicki, opowiadał mi o sukcesach litorackich tego poety jeszcze na ławie szkolnej. Ojciec mój zachował z tego czasu podziw dla „Sonetów tatrzańskich", które stawiano obok „Sonetów krymskich". Boy w swoim Wstępie pisze: „Sława jego (Nowickiego) sonetów tatrzańskich przetrwała w legendzie nie wolnej od przesady, gdy je stawiano obok „Sonetów Krymskich" Mickiewicza".

Przeczytajcie dzisiaj sonety Nowickiego, a zobaczycie jak zastrzeżenie Boya jest słabe i nieśmiałe! W innym rozdziale swego Wstępu pisze Boy o „cudnych kartonach Wyspiańskiego... obok różnych „secesyjnych" potworności".

Byłem niedawno w Muzeum Narodowym w Krakowie. Rozczarowany stałem przed owymi „cudnymi kartonami", które kiedyś w dzieciństwie tak mi się podobały. Podobnie jak obrazy Jacka Malczewskiego i słynny „Szał" Podkowińskiego. Ponieważ w tym samym muzeum są — jak wiadomo — dzieła Michałowskiego, Gierymskiego, Rodakowskiego, można się pocieszyć, że nie było tak źle ze sztuką polską, jakby to chcieli nam mimowoli zasugerować chwalcy secesji.

Chodzi tylko o trzeźwe, wolne od sentymentu spojrzenie na tamten okres. Jeśli rzeczywiście było „coś renesansowego w atmosferze ówczesnego Krakowa", jak pisze Boy, to tym gorzej dla renesansu i Krakowa.

Cóż z tego, że usta ówczesnych kobiet i mężczyzn powtarzały po kawiarniach i na głuchej prowincji polskiej Tetmajerowe: „Lubię, kiedy kobieta". „Mów do mnie jeszcze", „A kiedy będziesz moją żoną", cóż z tego, że „Anioł śmierci" był popularną powieścią? To są ciekawe fakty socjologiczne, mówią one coś niecoś o smaku mieszczaństwa i inteligencji, lecz nie świadczą bynajmniej o wartości tych utworów. Na pewno główki Aksentowicza i pomadkowe malarstwo Stachiewicza bije na głowę w dostępności do nieprzygotowanego widza — powiedzmy: dzieła Gierymskiego. Nie każde jednak dzieło popularne jest dziełem prawdziwej sztuki. To truizm, ale warto go przypomnieć.

Kiedy dzisiaj czytamy zamieszczone w antologii Boya utwory Kasprowicza, nie możemy zrozumieć, jak ta werbalna poezja mogła budzić zachwyt. Albo podobna

Tadeusz Boy - Żeleński

do uczniowskiego poetyzowania proza poetycka Przybyszewskiego, o której z takim szacunkiem pisze Boy!

To nie żarty. Poetyka Młodej Polski weszła głęboko w świadomość szerokich mas czytelniczych, zaraziła polonistykę. Styl uroczysty i pseudoludowy tamtego okresu bunajdujemy dzisiaj w płodach prowincjonalnej muzy, która jak wiadomo jest spóźniona, w retoryce niektórych starszych polonistów i w enuncjacjach stronnictw i organizacji ludowych. Więcej. Jest coś w nieszczelnym języku „Młodej Polski", w jego porywistych frazach, co ofiarowuje swoje usługi pisarzowi współczesnemu w chwilach zachwiania równowagi i osłabnięcia czujności. Można by parafrazując Goethego powiedzieć, że słówko młodopolskie zjawia się wtedy, gdy brak pojęcia. Prekursorów Młodej Polski, choć samozwańczo powoływała się na Słowackiego, trzeba by szukać raczej w wielomówstwie Krasińskiego i drugorzędnych pisarzy szkoły romantycznej.

W grubej książce Boya, której dobór dokonany był pod kątem charakterystycznych dla epoki objawów, nie pod kątem doskonałości poetyckiej, mało znajdziemy utworów naprawdę wartościowych.

Wyspiański, którego niektóre wiersze liryczne mają wymowę przejmującą, we fragmentach „Kazimierza Wielkiego" i „Wyzwoleniu" jest dla nas dzisiaj niestrawny. Nawet tak znakomity poeta jak Staff w tym wyborze traci wiele, nieczytelny jest młodzieńczy Leśmian.

Chłopomaństwo, stylizacja ludowa w dziełach Młodej Polski ma swoją społeczną wymowę i określoną przynależność. Należy tylko ustawić owe sympatie inteligencji do ludu na tle ówczesnych ruchów ludowych. Przypomnijmy kilka faktów Program zawiązanego w r. 1895 Stronnictwa Ludowego nie precyzuje kwestii rolnej. Podobnie jak Stronnictwo Chrześcijańsko - Ludowe — Stronnictwo Ludowe w tej sprawie nie wypowiada się konkretnie, jest bowiem w istocie partią bogatych chłopów. Chłopi „Wesela" przypominają w niejednym chłopów ze Stronnictwa księdza Stojałowskiego, który w początkach swej działalności politycznej szermował radykalnymi hasłami.

Młodzieńcze wiersze Kasprowicza opowiadają o doli małorolnego chłopa, by ustąpić później utworom symbolicznym, w których konkretne sprawy społeczne roztapiają się w ogólnikach metafizycznych. Orkan również zaczyna od obrazów nędzy Podhala, by później szukać zapomnienia w stylizacji symboliczno - ludowej.

To przechodzenie radykalnych pisarzy chłopskiego pochodzenia do warstwy inteligenckiej, mającej żywe tradycje ziemiańskie, to odżegnywanie się od nastrojów rewolucyjnych lat młodości znajduje wytłumaczenie w postępującym konserwatyzmie ówczesnych stronnictw ludowych. Można by mniemać, że nie jest przypadkiem równoległość owych przemian z przemianami Stronnictwa Ludowego, które zdążało powoli lecz konsekwentnie do „chienopiasta". W ostatnich latach swego życia zarówno Kasprowicz jak i Orkan są zdecydowanymi konserwatystami. Tetmajer również wcześnie pożegnał się z radykalizmem społecznym. Wyspiański był bodaj najjaskrawszym wyrazicielem solidaryzmu narodowego.

Takiemu kształtowaniu się poglądów społecznych i politycznych pisarzy Młodej Polski sprzyjała niewątpliwie słabość ówczesnych ruchów ludowych i nacjonalizm, który podmywał podstawy polskiego ruchu socjalistycznego. Po roku 1905 Wyspiański skreślił w „Wyzwoleniu" wzmiankę o „wyrobniku i dziewce bosej". Żeromski w „Róży" poddał się snom solidarystycznym, które niegdyś kołysały autora „Psalmów". Zdradził radykalizm społeczny swych lat młodzieńczych — Mochnacki tej epoki — Stanisław Brzozowski, autor reakcyjnej „Legendy Młodej Polski".

Cała ta, dziwnie zgodna rejterada pisarzy modernizmu odbywała się pod osłoną mistycznej poezji, przyjmując proteuszowe kształty walki o sens ostateczny i szczęście świata.

Z sympatii dla ruchów ludowych pozostały już tylko dekoracje teatralne i... flirty z „bajecznie kolorowymi" wieśniaczkami lub nawet związki małżeńskie.

Chłop otrzymał prawo obywatelstwa w sferze wyobraźni poetów Młodej Polski („Do herbu biorę dziś acana"), lecz nie otrzymał prawa do ziemi.

W poezji Młodej Polski tryumfuje „kulak", „twarzą pobladłą" straszą nędzarze, upiory rewolucji.

Kiedy Stanisław Szczepanowski pisał swoją „Nędzę Galicji w cyfrach", poezja stroiła się w barwy i w kwiaty. Potępił ją za to ten sam Szczepanowski w swojej „Dezinfekcji prądów europejskich", niesłusznie dopatrując się jej upadku w absenteizmie poetów.

Pisarze tego okresu wyrażali na ogół wiernie swoją współczesność, wady ich i błędy były odbiciem niepełności polskich ruchów socjalnych w tym czasie, forma „Młodej Polski" — wołała rozbiciem kraju, choć wydawała się wówczas olśniewająco bogata. Bogactwo to było fałszywe, jak fałszywe są klejnoty Salome w hymnie Kasprowicza pod tym tytułem.

„Nie szukali Grecy piękna, kiedy gromili Persów" — pouczał po prostacku Szczepanowski. — „Gadaj tu z takim grekiem" odpowiada mu dowcipnie Boy - Żeleński. Nie to, że poeci Młodej Polski szukali piękna, było ich winą. Rzecz w tym, jakiego piękna szukali.

Wpływy doskonałej poezji francuskiej tego okresu, na ogół powierzchownie rozumianej i przyswajanej, nie zawsze wychodziły na dobre lirykom Młodej Polski. Dość porównać wiersz Tetmajera „Czemu dziś mój kochanek" z wierszem Baudelaire'a „Ścierwo" („Une charogne"), by przekonać się jakiemu rozbiciu uległy tu diamentowe strofy autora „Fleurs du Mal'.

Ale może właśnie u Tetmajera, tego „przeklętego poety", zachowała się najgęstsza trucizna okresu, u niego, który miał odwagę wyznać:

> Pieśń moja stała się dziś pieśnią
> Wyłącznie tylko moją własną;
> nie dbam czy gdzie się ucieleśnią
> tak czy inaczej w czyjem młodem
> sercu te słowa, które w wodę-m
> rzucał — niech płyną lub zagasną.

Inni bez wspaniałego gestu Tetmajera podrabiali Verlaine'a, Heredię i dziesięciu innych presymbolistów i parnasistów, nie myśląc o tym jaką cenę zapłacili owi poeci za swoje odkrycia. Sytuacja podobna do nagminnego dzisiaj podrabiania postsymbolistów francuskich z jednej strony, Majakowskiego — z drugiej. Oczywiście były wyjątki. Mniej znani poeci, nie koryfeusze modernizmu polskiego, osiągali często bardzo poważne wyniki.

Stanisław Korab Brzozowski, znakomity tłumacz Baudelaire'a pozostawił kilkanaście wierszy o nieskalanej piękności Wincenty Brzozowski napisał niezwykły wiersz pamięci swego brata Stanisława — „Godzinę myśli" Młodej Polski. Zapomniany zupełnie Wacław Rolicz Lieder, rozwijający się pod wpływami Stefana George, jest dotychczas ozdobą antologii liryki ówczesnej.

Z obszernej i bardzo nierównej liryki Micińskiego nietrudno wyłowić kilka wierszy o trwałej wartości. Ale sławę zapewniły Micińskiemu inne, dziwaczne, secesyjne utwory.

W ogóle secesja wiedeńska działała silnie i wiele szkody wyrządziła poezji naszej tamtych czasów. Po przez nią czytano wiersze symbolistów francuskich, po przez nią oglądano obrazy impresjonistów. Kiedy Wyspiański wyjechał na studia malarskie do Paryża, nie umiał już jasno wybierać.

Były zapewne głębsze przyczyny tej nieumiejętności wyboru, tego chaosu w estetyce Młodej Polski.

Wzory, czerpane z krajów o wyższej strukturze kulturalnej i gospodarczej, ze środowisk mieszczańskich ulegały zdeformowaniu w kraju nieuprzemysłowionym, o szlacheckiej kulturze, w Galicji, której krakowskie Ateny były stolicą Młodej Polski.

Jak mieszały się w niej epoki, jak wykrzywiały się na podobieństwo maszkar w Sukiennicach style modernizmu swojskiego i cudzego, o tym świadczy najlepiej „Akropolis".

Najczystszy, najbardziej zrównoważony liryk tego okresu, który dopiero później miał dać swoją pełną miarę, Leopold Staff, mieszkał we Lwowie.

Epoka Młodej Polski jest zamknięta, ale wpływy jej trwają jeszcze, wprawdzie wygnane na ogół z poezji, w słownictwie, na peryferiach literatury, bruździą niekiedy w języku oficjalnym, objawiają się w niechęci do intelektualizmu i prostoty wysłowienia.

Jest rzeczą znamienną, że kanonizowano niemal histerię stylistyczną owego okresu, uznano ją za narodową, „pralechicką", zapominając o tym, że u początków poezji polskiej stał Jan Kochanowski.

Antologia Boya, której pierwsze wydanie ukazało się w tragicznych dniach poprzedzających wrzesień 1939 roku, nieznana szerszemu ogółowi, wznowiona teraz, ukazuje ten ubogi w dobrą poezję okres w jaskrawym świetle, w którym również widzialnie zarysowują się linie politycznego i społecznego układu Polski u schyłku dziewiętnastego i w pierwszym dziesięcioleciu dwudziestego wieku.

Mieczysław Jastrun

*) Młoda Polska Wybór poezyj. Opracował Tadeusz Żeleński (Boy). Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich. Wrocław 1947, str. 474.

JÓZEF KOWALCZYK

ROK PRZEŁOMU*) (II)

Szereg bliższych szczegółów o tej wspólnej naradzie znajdujemy w pisemnym sprawozdaniu delegatów komunistycznych.

Po dyskusji — czytamy tam — obie strony uzgodniły termin strajku powszechnego na 19 czerwca. Następnie uchwalono zwołać na 5-go bm. konferencję międzyzwiązkową, na 12-go bm. konferencję międzyzwiązkową i dzielnic partyjnych, na 16-go bm. zgromadzenia podług zawodów, **na których będą dopuszczeni do głosu przedstawiciele lewicy lub opozycji związkowej.** Pepesowcy zgadzają się na utworzenie wspólnych komitetów akcji na zw. zaw., lecz nie zgadzają się na takie fabryczne komitety. Również nie zgodzili się na zwoływanie wspólnych wieców i demonstracji. Co do platformy haseł, przyjęli walkę o 5-cio przymiotnikowe prawo wyborcze, lecz nie zgodzili się na hasło sformułowane przez nas: „przeciwko faszystowskiej ordynacji wyborczej", tylko przeciw **sanacyjnej**... itd." Odrzucili hasła nasze, jak: przeciw wojnie z ZSRR, rozwiązanie Berezy. Zgodziliśmy się na ogólne sformułowanie „przeciw terrorowi faszystowskiemu", — natomiast co do wojny oświadczyliśmy, że za to będziemy ich bić na wszystkich wiecach i zgromadzeniach...

Termin strajku został następnie przez PPS odroczony do 25 czerwca. Dopiero w dniu 19 czerwca odbyła się w Warszawie konferencja międzyzwiązkowa, która miała powziąć uchwałę o strajku na dzień 25. O nastroju konferencji świadczy fakt, że nikt z obecnych nie wypowiedział się przeciw strajkowi. Dyskusja toczyła się głównie wokół tego, czy strajk ma być jednogodzinny, czy też całodzienny.

Dyskusja była bardzo ożywiona—czytamy w relacji Sekretariatu. — Kilkakrotnie na sali doszło do tumultu. Prezydium kilkakrotnie zapraszało mówcę lewicowego, aby pomógł zapanować nad zebraniem. Za jednogodzinnym strajkiem przemawiali Podniesiński i inni. W końcu zaproponowali tajne głosowanie systemem ang. (głosuje prezes w imieniu wszystkich członków zorganizowanych w danym związku). Na ten temat powstała burzliwa dyskusja. Lewica i robociarze wypowiadają się za zwykłym, jawnym głosowaniem. Groziło zerwanie konferencji. **Wówczas mówca Lewicy złożył oświadczenie, że dla uniknięcia rozbicia konferencji i zerwania strajku godzi się na sposób głosowania proponowany przez prezydium.** (Podkreślenie moje. J. Kow.).

Prawica PPS nie rezygnuje jednak z prób rozbicia współdziałania z komunistami.

Gdy już komisja skrutacyjna została wybrana — czytamy dalej w powyższej relacji — zabrał głos Zaremba w sprawie nagłej. Wymachując w ręku odezwą Kom. Warsz. KPP wołał, że próba porozumienia z Lewicą zawiodła, gdyż komuniści w dalszym ciągu atakują przywódców PPS. Sala zażądała odczytania odezwy. Przedstawiciel Lewicy domagając się doręczenia mu odezwy do rąk (może sfałszowana) oświadczył, że sam ją odczyta. Zaremba odezwy z rąk nie wypuścił i odczytać jej nie chciał. Musiał jednak cytować. Przeczytał pierwszą cytatę, w której KW w sposób ważki, ale wielce ostrożny krytykuje OKR za 19-y. Na sali aprobata dla cytaty. Wtedy Zaremba odczytuje drugi cytat, na co sala: prawda, tak było, widzicie, że i tu nie nazywają Was zdrajcami, socjalfaszystami. W prezydium konsternacja. Przewodniczący odbiera głos Zarembie, przystępując do głosowania. Rezultat: 198 za strajkiem całodziennym, 126 za jednogodzinnym, 3 za dwugodzinnym, siedemdziesiąt kilka wstrzymujących się. Sala wstaje, śpiewa jedną zwrotkę Czerwonego. Na wniosek Lewicy śpiewają jedną strofkę Międzynarodówki. Padają okrzyki: niech żyje jednolity front! Cała sala podtrzymuje. — Niech żyje Lewica — to samo. Niech żyje PPS — to samo.

Należy nadmienić, że pertraktacje w sprawie współdziałania OKR PPS z komunistami w akcji protestacyjnej przeciwko faszystowskiej ordynacji wyborczej, odbywały się za cichą zgodą CKW PPS, który pod wpływem nastrojów w masach i szeregach własnej Partii nie mógł już dłużej trwać na swym pierwotnym stanowisku w tej sprawie. Że tak istotnie było, wynika z oświadczenia, złożonego przez delegata pepesowskiego podczas pertraktacji, poprzedzających konferencję międzyzwiązkową z dnia 19 czerwca. Według relacji Sekretariatu Krajowego KPP, delegat OKR PPS oświadczył wtedy:

że wszelkie uzgodnione z nami sprawy są uzgodnione za wiedzą CKW i on jako członek CKW jest poinformowany, co CKW ma zamiar robić.

Nie przeszkadzało to jednak, jak widzieliśmy, prawicowym i piłsudczykowskim dywersantom w ciałach kierowniczych PPS dalej uprawiać rozbijacką robotę. Ale jednolity front poczyna przełamywać te tamy nie tylko w Warszawie. W najważniejszych ośrodkach kraju odbywają się konferencje robotnicze, które przyjmują uchwały o strajkach protestacyjnych. Komuniści występują z inicjatywą ogłoszenia jednodniowego strajku powszechnego. Inicjatywa ta spotkała się z poparciem wielu organizacji PPS i terenowych rad związków zawodowych. Zamiast tego CKW PPS wezwał 16 czerwca „do zgromadzeń i strajków protestacyjnych między 17 a 27 czerwca". Aby nie rozbijać wysiłków, komuniści popierają tę akcję. Dążą jednak do jak najszybszego rozwoju całej kampanii protestacyjnej, kładąc przede wszystkim nacisk na przeprowadzenie jak największej ilości strajków politycznych.

W dniach między 19 a 27 czerwca fala strajków politycznych potężnie wezbrała w całym kraju. W większości ośrodków proletariackich strajk objął od 80 do 100 proc. robotników. Było to oznaką zdecydowanego zwrotu klasy robotniczej ku masowej walce politycznej pod znakiem jednolitego frontu. Jednocześnie na wsi rozpoczęła się nowa faza walk strajkowych. Dochodzi do krwawych starć z policją na Wołyniu. Pod Suwałkami odbyły się demonstracje chłopskie przeciwko szarwarkom. Setkami uchwalane są rezolucje przeciwko Konstytucji faszystowskiej, ordynacji wyborczej, prohitlerowskiej polityce zagranicznej o zawarcie paktu wschodniego, o zwolnienie więźniów politycznych itd.

Po strajkach czerwcowych KPP występuje z propozycją wspólnego wykorzystania przez wszystkie partie demokratyczne akcji wyborczej i samych wyborów dla spotęgowania walki przeciwko dyktaturze sanacyjnej o chleb, wolność i pokój i przekształcenie wyborów w pewnego rodzaju plebiscyt przeciwko sanacji. Gdy jednak okazało się, że hasło bojkotu wyborów, za którym opowiedziały się opozycyjne partie demokratyczne, znalazło mocny oddźwięk w masach, komuniści opowiadają się także za bojkotem, ale za bojkotem **czynnym**, połączonym z wiecami, strajkami i demonstracjami, odrzucając samo tylko bierne wstrzymanie się od wyborów.

Musimy działać tak — głosi wytyczna komunistów — żeby się nie odrywać od nastrojów masowych i do nich ostatecznie przystosować także naszą taktykę wyborczą...

W organach kierowniczych PPS sprawa taktyki bojkotowej długo była przedmiotem dyskusji. „Co do form i charakteru bojkotu panuje tam rozgardiasz" — donosi Sekretariat KC KPP o odbytym posiedzeniu Rady Naczelnej PPS. Natomiast jednolitofrontowe skrzydło PPS zajęło w tej sprawie zdecydowane stanowisko, pokrywające się z poglądami komunistów.

Próchnik w prywatnych rozmowach — podaje Sekretariat — lansuje stworzenie jednolitofrontowego organu dla przeprowadzenia bojkotu czynnego, powołując się na przykłady francuskie.

W fabrykach warszawskich i w organizacjach dzielnicowych zaczynają przy współudziale komunistów i lewego skrzydła PPS powstawać takie „jednolitofrontowe organy" w postaci komitetów bojkotu, coraz silniej zacieśnia się współpraca w jednolitym froncie.

Praska dzielnica PPS — informuje w innym liście Sekretariat — zwróciła się już do metal. o danie dwóch ludzi z naszych fabryk do takiego komitetu. Wielka masówka pod Norblinem przeszła świetnie, choć niestety komitetu nie wybrali — powtórzą. Punkt ciężkości przenosi się na fabryki, związki... Na Woli Winterok (PPS) gadał b. rewolucyjnie... Dziś ma być nowa delegacja na ich KD i mają wspólnie ułożyć wybory. To samo na innych dzielnicach...

W tym samym czasie rozszerza się współpraca jednolitofrontowa w innych ważniejszych ośrodkach kraju.

Po szeregu rozmów między kierownictwem okręgowym KPP a OKR PPS Górnego Śląska dochodzi do całkowitego uzgodnienia umowy jednolitofrontowej. Kierownictwo okręgu węglowego KPP w liście z dnia 16. VII. 35 r. w następujący sposób streszcza główne punkty tej umowy:

1) Obie strony zawierają jednolity front walki. Najbliższe zadania wspólnej walki: przeciw sanacyjnej ordynacji wyborczej, o 5-cioprzymiotnikowe prawo wyborcze... Walki ekonomicznej włączyć nie chcieli.

2) Formy walki: zebrania, wiece, plebiscyt, rezolucje, podpisy protestacyjne, strajki aż do strajku powszechnego włącznie.

3) Obie strony będą się starały wciągnąć do jednolitego frontu inne organizacje na podstawie tej platformy.

4) Ustają wszelkie napaści przy zachowaniu prawa rzeczowej krytyki.

5) Obie strony będą zwalczały wrogów jednolitego frontu.

W punkcie 1-ym — jeszcze walka wspólna o swobodę związków, stowarzyszeń, strajków, prasy. Oto wszystko. Zobowiązali się wysłać do niedzieli (ubiegłej) okólnik na dzielnice, żeby tam z nami natychmiast wejść w porozumienie. Ustnie, jak twierdzą, już dali znać. Uchwaliliśmy na 21 wspólne wiece ogólnośląskie (oni legalizują) w Katowicach, Chorzowie, Siemianowicach. O lokalnych wiecach mają się dogadać z dzielnicami.

Owa umowa została zawarta na warunkach „dżentelmeńskich", bez podpisywania tekstów. Chodziło o to, aby nie dawać władzom pretekstu do prześladowania pepesowców za utrzymywanie stosunków z nielegalną organizacją komunistyczną.

W Łodzi — „dalsze pogłębienie się jednolitego frontu, ale na ograniczonej podstawie'", jak informuje list z okręgu łódzkiego z dnia 15 lipca 1935. Znaczne zbliżenie nastąpiło zwłaszcza na terenie organizacji młodzieżowych.

Chociaż łódzki komitet OM TUR-u — czytamy w tym liście — nie zgadza się jako instancja na zawarcie jednolitego frontu, to wszyscy jego członkowie oddzielnie przychodzą na dzielnice, zawierają z KZM-em jednolity front. Turowcy zdają sobie sprawę z groźby likwidowania ich, zwłaszcza, że nie tylko faszyzm ich atakuje, ale również ich władze partyjne grożą im likwidacją, względnie wcieleniem części do partii i przekształceniem reszty w niewinne towarzystwo sportowe. Turowcy zgodzili się więc na serio rozpocząć wspólną z KZM-em walkę o sekcje młodzieżowe przy związkach. Odbywają się różnego rodzaju narady, konferencje, zebrania, masówki. Ma to miejsce również z „Cukunftem" i „Jugendem". Sekcje młodzieżowe powstają tam, gdzie jeszcze nie było, a istniejące zostają umasawiane. Ogólno - łódzka konferencja młodzieżowa (KZM, TUR, Cukunft i Jugend) postanowiła rozpocząć walkę o stworzenie okręgowej rady młodzieżowej OK ZZ. Lokale czterech dzielnic pepesowskich i lokale wielu dzielnic TUR-a zamienione zostały na swego rodzaju naszą bazę. Trwa również współpraca po fabrykach. Pepesowcy i Turowcy dają nam swoich ludzi z tych fabryk, do których nie mamy dotarcia i proszą o wzajemność.

Wypadki na terenie łódzkich organizacji młodzieżowych toczyły się szybko. Już po kilku tygodniach kierownictwo OMTur okręgu łódzkiego, atakowane przez prawicę PPS, szuka oparcia u komunistów i zmuszone jest zmienić swe poglądy na sprawę zawarcia umowy jednolitofrontowej.

Został zawarty jednolity front w skali okręgowej między TUR-em i nami — donosi Sekretariat krajowy w liście z dnia 15. VIII. — Platforma taka: 1) wspólna walka o sekcje — prowadzi ją z nami cały TUR, a nie jak dotąd tylko wydział zawodowy; 2) wspólna walka przeciwko konstytucji i ordynacji, o prawo głosu od lat 21 (turowcy przeprowadzili od lat 18 — zgoda), wspólna akcja o to; 3) front ludowy; 4) przeciwko wojnie; 5) wspólna walka przeciw faszystowskiej organizacji młodzieży. Zostało to przyjęte na konferencji. Wyznaczono następną konferencję, gdzie mają ustalić kalendarzyk wspólnych wystąpień.

Wiadomości o bliższej współpracy z OM TUR-em napływały również z innych okręgów, świadcząc o głębokim procesie radykalizacji w szeregach młodzieży socjalistycznej.

Zarazem wzrastał nacisk mas na prawicowych wodzów. Charakterystycznym przejawem takiego nacisku była w owych miesiącach walka tramwajarzy warszawskich o wyrzucenie z szeregów związku prawicowego „działacza" Podniesińskiego podejrzanego o kontakty z defensywą.

Sprawa wyrzucenia Podniesińskiego stała się bardzo popularna w masach — donosi Sekretariat w liście z dnia 22 VII. 35 r. — Grupa żoliborska była w tej sprawie u Żuławskiego i w OKR. Żuławski dał im wolną rękę, co do wyrzucenia Podniesińskiego: „róbcie jak uważacie"... Odbył się sąd honorowy w składzie: Próchnik, Baranowski, Stopnicki. Sąd potępił działalność Podniesińskiego, uznał ją za szkodliwą dla klasy robotniczej, partii i związku.

Jeśli nawet Żuławski czuł się zmuszony zrezygnować z cennych usług Podniesińskiego, było to świadectwem siły, jakiej nabrał ruch tramwajarski w Warszawie na skutek zwarcia się robotników w jednolitym froncie.

Wodzowie prawicy PPS zmuszeni są coraz bardziej liczyć się z rzeczywistymi nastrojami mas. Wyrazem tego jest nowa frazeologia, jaką zaczęli posługiwać się w celu przechwytywania tych jednolitofrontowych nastrojów.

Jakże wymownym z tego punktu widzenia jest naprzykład następujący urywek z artykułu „Pójdziemy razem" („Robotnik", 28. VII. 35), poświęcony sprawie sanacyjnych wyborów.

Jednolity front proletariatu i mas włościańskich — brzmi ten urywek — tworzy się w Polsce i „od góry" i „od dołu" z żywiołową wprost mocą, tworzy się **przeciwko** koncepcjom i doktrynom BBWR. Sądzę, że tego procesu nie powstrzyma już nic: ani przemoc, ani żadne doktrynerstwo ludzi, obciążonych konserwatyzmem myślowym. **Z jednolitego frontu** mas powstanie **ośrodek żywych sił kraju**, poza oficjalną „reprezentacją". (Podkreślenie „Robotnika").

Czytelnicy „Robotnika" nigdy nie czytali tego ustępu, został on z artykułu wykreślony przez cenzurę.

Z biegiem czasu „Robotnik" zaczyna częściowo przechodzić na nowe pozycje w sprawie bojkotu wyborów, opowiadając się również za **czynnym** bojkotem, choć zwężonym od ram działalności propagandystycznej.

„Nasze hasło bojkotowe — czytamy w numerze z dnia 3. VII. 1935 r. ma jednak jeszcze inne dalsze cele. Akcja powinna być nie **tylko bierna, lecz także czynna.** Rozumiemy przez to wszechstronną propagandę naszego programu, wzmożony kolportaż naszej prasy, zdobywanie nowych zastępów dla naszej idei i naszej partii. (Słowa podkreślone uległy konfiskacie J. Kow.).

Ta niezdecydowana, manewrowa pozycja nie mogła oczywiście stać się przeciwwagą dla haseł komunistów i lewych pepesowców w sprawie czynnego bojkotu, co leżało w intencji prawicowej grupy CKW PPS. Czynny bojkot, propagowany i organizowany przez szczerych jednolitofrontowców — komunistów i lewicowych pepesowców — wyraził się w demonstracjach, częściowych strajkach, niszczeniu sanacyjnych transparentów, wybijaniu szyb w lokalach wyborczych. „Nieudało się jednak bojkotu wyborów połączyć z wielkim ruchem masowym"—samokrytycznie stwierdzili po wyborach komuniści.

Mimo wszystkie braki akcja bojkotowa zadała dotkliwą porażkę sanacji. Nawet wedle oficjalnych, sfałszowanych danych, głosowało 8 września w całym kraju tylko 46,4 proc. uprawnionych, a w takich ośrodkach, jak Warszawa i Łódź tylko — 22 proc. i 13 proc.

Nie ulega wątpliwości, że te kompromitujące reżym sanacyjny wyniki zostały w dużym stopniu spowodowane czynną postawą mas jednolitofrontowych.

O FRONT LUDOWY, JEDNOŚĆ ZWIĄZKOWĄ I ZWOLNIENIE WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH

Jeszcze w czasie kampanii bojkotowej komuniści uczynili znaczny krok naprzód w dziedzinie spopularyzowania częściowych żądań demokratycznych, coraz śmielej wysuwanych pod wpływem doświadczeń walki masowej w Polsce i linii taktycznej, wytkniętej przez VII Kongres Międzynarodówki Komunistycznej. Były to przede wszystkim takie żądania, jak walka o konstytuantę w przeciwieństwie do Sejmu, zglajchszaltowanego przy pomocy sfaszyzowanej konstytucji, jak hasło rządu antyfaszystowskiego, który komuniści gotowi są poprzeć lub wejść w jego skład w celu urzeczywistnienia platformy frontu ludowego, jak wreszcie hasła jedności ruchu zawodowego, jednej partii klasy robotniczej, zwolnienia wszystkich więźniów politycznych, zerwania sojuszu wojennego z Hitlerem i nawiązania ścisłych, przyjaznych stosunków z ZSRR.

Hasła te działały w kierunku rozszerzenia jednolitego frontu robotniczego i tworzenia na tej podstawie szerokiego antyfaszystowskiego frontu ludowego

*) Por. Nr. 42 „Kuźnicy".

JAN ŚPIEWAK

SATYRA OKUPACYJNA*)

W najbliższym czasie ukaże się dzieło, bo trudno nazwać to zwyczajną książką, zatytułowane „Satyra w konspiracji 1939—1944 r." którego autorem tzn. redaktorem jest Grzegorz Załęski. Książka trafiła do moich rąk, przeczytałem ją jednym tchem i wstrząsnęła mną tak głęboko jak żadna inna. Czytałem wiele utworów z czasów okupacji, były to dzieła o rozmaitej wartości literackiej, były tragiczne i pełne patosu, były prawdziwe, mówiące bez osłonek, tylko że żadne z nich nie posiadało tego aspektu, jaki bije z tej książki.

Studiując od kilku lat zagadnienia satyry, śledziłem pilnie jak się ona rozwija u nas, na czym polega jej siła i słabość, jakie są jej braki i co powoduje, że niestety dotychczas istnieje nawet pośród pisarzy postępowych, lekka ukryta niechęć do niej. Słyszałem słowa ostre, krytykujące, że owszem z samym rodzajem literackim nikt nie walczy, nikt nie stara się pomniejszyć jego wartości, tylko że nie mamy od wielu lat ani wielkiego satyryka, ani też, ba tym bardziej, nie ma i nie istniał u nas żaden głębszy nurt satyryczny w naszej literaturze. Oczywiście zarzuty w zasadzie były niesłuszne jeśli się zna to wszystko, co zostało w tej dziedzinie stworzone w ciągu chociażby lat międzywojennych. Tradycja twórczości satyrycznej, mająca tak wybitną przeszłość istniała i istnieje nadal. Śmiech, ironia, drwina, śmiech walczący, burzący przesądy, występujący w imię najwybitniejszych ideałów był i jest bronią nie tylko literacką ale ogólnonarodową.

A. Ostrowski we wstępie do książki „Epigramaty i satyra XIX w. w Rosji" pisze, że „rozwój literackiej satyry wskazuje na intensywność życia literackiego" i bezsprzecznie ma rację. Kiedy zaś satyra, przestając być bronią wyłącznie literacką, wybucha żywiołowo w całym niemalże narodzie, wtedy wyzwolona z tzw. literackości staje rzeczywiście w pierwszych szeregach walczących. Wtedy właśnie nabiera najczystszego charakteru.

W chwili największego natężenia terroru okupacji, społeczeństwo nasze słusznie zupełnie chwyciło się również tego właśnie oręża. Satyryczne utwory, plakaty, ostre gryzące dowcipy tworzą nie tylko zawodowi pisarze albo malarze, ale cały naród staje się współtwórcą, ośmieszając okupanta hitlerowskiego, a tym samym podważając jego pseudoautorytet. „Gdyby Niemcy mieli poczucie humoru, Hitler nie mógłby istnieć", wypisane było na czołowej karcie humorystycznego pisma „Moskit".

Przypomnijmy krótko prasę wydawnictw satyrycznych w czasie okupacji, podaną zresztą we wstępie do tej książki. Niestety, nie ukazywały się one regularnie i nie miały i nie mogły mieć długiego żywota. Czyż nie zadziwi nas bogactwo i różnorodnośc pism? Pierwszym satyrycznym pismem był „Biały koń" w r. 1940, następnie „Nowa Mucha", „Szpilka" i „Kret", wszystkie ukazały się w r. 1940. W 1941 r. pojawia się „Zadra", „Nowy dzień" zamieszczał również utwory satyryczne. Sześciostronicowy dziennik podziemny „Demokrata", którego redaktorem był Grzegorz Załęski poświęcał całą stronę satyrze i rysunkowi. „Zachodnia straż Rzeczypospolitej" w r. 1943 drukuje luźną kartkę. W tymże roku ukazywało się satyryczne pismo „Moskit", a w Krakowie — „Na ucho" tygodnik satyryczny. W 1944 r. ukazuje się „Dyliżans" — pismo satyryczne. We Lwowie ukazywał się „Sowizdrzał". Oprócz tych pism ukazały się dwa fałszywe „dodatki nadzwyczajne" do gadzinówek, „Nowego Kuriera Warszawskiego" i jedna do „Gońca Krakowskiego". Drukowane w prasie podziemnej, przynosiły prawdziwe wiadomości i demaskowały w sposób ostry, satyryczny postawę sprzedażnej, gadzinowej prasy. Ukazywały się również broszury: „Anegdota i dowcip wojenny" w roku 1943, „Satyry i fraszki" Tomasza Wiatracznego (Tadeusza Hollendra), „Dysonanse", „Na ucho", „Szubienica", „Nowe stany", „Polski humor wojenny", liczne ulotki satyryczne i szopki satyryczne. W grudniu 1943 r. „Stowarzyszenie grajków wędrownych „Zoranie" wydało powielane „Cztery aktualne pieśni kolędowe na ostatni rok wojny". Jeśli do tego pobieżnego spisu dodamy niezliczone napisy satyryczne na murach, niezliczone dowcipy, krótkie hasła i pieśni śpiewane na ulicach, będące dziełem zorganizowanym chociaż częstokroć anonimowym, ujrzymy jak dużą rolę odegrała satyra w czasach okupacyjnych.

Książka „Satyra w Konspiracji", wydana niezwykle starannie na kredowym papierze, nie jest dziełem w pełnym tego słowa znaczeniu literackim, oparta jest bowiem wyłącznie na autentycznych tekstach i rysunkach, drukowanych jako faksimilia: tak jak to wyglądało w prasie podziemnej. Jest więc właściwie zbiorem niezwykłych dokumentów. Nie ma w niej ani jednego wiersza, ani jednego rysunku, który by nie był przedrukowany z prasy. Słusznie przeto St. R. Dobrowolski w krótkim do niej wstępie pisze, że jest to książka niezwykła, książka-dokument. Dziś, gdy przeglądamy stronicę za stronicą, gdy bawimy się celnością i pomysłowością rysunków wierszy lub fraszek, z trudem uprzytomniamy sobie, że był to humor-kula, że za uśmiechem stale kroczyła śmierć. Śmierć groziła pisarzowi, malarzowi, drukarzowi, bezimiennemu kolporterowi i czytelnikowi. Utwory pisane były na gorąco, podyktowane powagą chwili, a mimo to stoją na dużym poziomie literackim. Może nie mimo to, a właśnie przez to. Satyra przestając być igraszką kawiarniano-literacką właśnie w tym okresie nabrała pełnego wyrazu tak w swojej formie jak i w roli jaką spełniała.

Książka przynosi poza tym okładki nieomal wszystkich pism satyrycznych wydawanych nielegalnie oraz bogaty wybór utworów literackich i rysunkowych. Kompozycja jest niezwykle staranna i składa się z pięciu części, starając się objąć możliwie obszernie całokształt życia w tych czasach. Rozdział pierwszy: Satyry i fraszki — wprowadza nas w atmosferę czasów i od środowiska „General Gouvernement", przechodzi stopniowo do najrozmaitszych frontów od wschodniego aż do włoskiego. Tego rodzaju układ stwarza swoistą akcję, a tym samym potęguje uwagę. Rozdział: „Anegdota i dowcip wojenny" stanowi przedruk broszury wydanej w czasach okupacyjnych i przynosi autentyczne dowcipy, które kursowały w swoim czasie. Rozdział: „Satyra na ziemiach Zachodnich Rzeczypospolitej" przynosi na wstępie luźną kartkę, wydawaną umyślnie w charakterze podłużnej szpalty, ażeby tym łatwiej można było ją schować w bucie, oraz szereg niezwykle ciekawych, często gwarą pisanych wierszy i dowcipów i krótkich scenek humorystyczno-satyrycznych. Rozdział: „Satyra na murach" przynosi autentyczne zdjęcia satyrycznych napisów na murach, robionych wielokrotnie niewprawną ręką. Rozdział: „Humor w prasie powstańczej" — jest może najszczuplejszy, zresztą nie z winy redaktora, gdyż dni te zbyt pełne były grozy i nie dodatnio wpływały na rozwój satyry. Autentyczne fraszki i faksimilia okładek pism wydawanych w czasie walk oddają nastrój obrony stolicy. Wreszcie piąty rozdział to — „Polska satyra dywersyjna". I w tym wypadku polski ruch oporu chwycił się potężnej satyrycznej broni, ażeby zburzyć dyscyplinę w armii niemieckiej i podważyć ideologię hitlerowską. Ukazywały się następujące pisma (podaję za Andrzejem Ryszkiewiczem), „Der Soldat" (pod redakcją Zygmunta Ziółka), „Der Hammer" (red. Stanisław Smoliński). Czysto satyrycznym pismem była „Erika". „Hammer" po pewnym czasie przekształca się w „Durchbruch", a „Soldat" w „Der Frontkämpfer". Pismem satyrycznym był „Der Klautermann", które ze względu na swoją treść i technikę drukarską w niczym nie ustępowało pismom legalnym. Zawierało trójbarwne ilustracje. Wreszcie ostatnim pismem była „Die Ostwache". Wszystkie pisma przynosiły umyślnie zredagowane nieprawdziwe wiadomości, kpiły z Hitlera, z całej machiny wojennej i podważały bojową gotowość niemieckich żołnierzy. Redagowane były niezwykle inteligentnie i pisane były najczystszą niemczyzną.

Gdy przegląda się spisy autorów tekstów, dostrzeżemy wiele nazwisk znanych pisarzy jak np. Dobrowolski, Maliszewski, Hollender (rozwinął w tym czasie niezwykle płodną twórczość), pojawiają się nazwiska nowe, jak Kowalczyk, Zawadzka, Kałużny i inni. Niektórzy z nich właśnie z powodu swojej twórczości zostali zabici przez okupanta.

Siła satyry, rozpiętość zagadnień, niezwykła celność, wynikająca z odważnej i bezkompromisowej postawy twórców, ścisła współpraca pisarza z malarzem — to wszystko — tworzy obraz niespotykany nigdzie. Jakkolwiek książka objętościowo jest duża, bo zawiera 256 stron dużego formatu, rzecz jasna, nie wyczerpuje w zupełności ani tematu ani materiału, który powinien być w jak najkrótszym czasie opracowany, oczywiście z takim samym pietyzmem jak u Grzegorza Załęskiego. Mam wrażenie, że książka ta ze względu na swoją niezaprzeczoną dokumentarność jest bodajże jedyna na świecie, albowiem żaden okupowany naród w świecie nie potrafił zdobyć się na tak odważną i bezkompromisową satyrę

Jan Śpiewak

*) Satyra w Konspiracji 1939—1944. Zebrał i opracował Grzegorz Załęski Spółdzielnia „Wiedza", Warszawa 1948 r. Str. 256.

Podręcznik przyszłego kapitalisty*)

W 1873 r. Marks, omawiając rozwój współczesnej mu nauki ekonomicznej stwierdził, że od czasu, gdy walka klasowa robotników poczęła praktycznie i teoretycznie przybierać zdecydowane i groźne dla kapitalizmu formy, wybiła śmiertelna godzina dla naukowej ekonomii burżuazyjnej. „Nie chodziło już więcej o to, czy dane twierdzenie jest słuszne, lecz o to, czy jest ono dla kapitału pożyteczne lub szkodliwe, wygodne lub niewygodne, czy odpowiada ono policyjnemu punktowi widzenia, czy też nie. Bezstronne badanie ustępuje miejsca harcom najemnych pismaków, sumienne dociekania naukowe zastępuje tendencyjna i wysługująca się apologetyka". (Marks: Posłowie do drugiego wydania I tomu „Kapitału").

Książka dra Lisaka ukazałą się współcześnie**), mimo to bezlitosna krytyka Marksa w pełni w nią trafia. I nie przypadkowo. Tak samo jak tysiące innych tłustych tomów chwali ona kapitalizm i broni go wbrew wszystkiemu, gromi, gani i krytykuje nawet najmniejsze próby gospodarki uspołecznionej.

Omawiana przez nas książka służy jako obowiązujący i podstawowy podręcznik dla kilku tysięcy studentów „Wyższego Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych" w Katowicach, kształci przyszłe kadry dla naszego przemysłu, handlu i administracji publicznej. Dlatego też nie od rzeczy będzie zapytać, do jakich zadań przygotowuje ona młodzież?

Po przeczytaniu „Ekonomii jednostkowej", odpowiedź na to pytanie musi brzmieć całkowicie jednoznacznie. Celem książki dr Lisaka **jest wykształcenie przyszłych kierowników przedsiębiorstw kapitalistycznych.**

Pozwólmy jednak samemu autorowi wyłożyć swoje stanowisko. W krajach socjalistycznych — powiada — „przedsiębiorstw sensu strico nie ma wcale (ZSRR)", (str. 9). Na nazwę przedsiębiorstwa „zasługuje jednostka gospodarcza z przedsiębiorcą na czele, prowadzącym interes na swoje ryzyko, celem osiągnięcia możliwie największego zysku", (str. 65). „Pojęcie przedsiębiorstwa..... **jest związane z pewnym określonym ustrojem gospodarczym,** który nie zawsze panował i obecnie nie wszędzie panuje". (str. 65). Jeżeli zestawimy te definicje i tezy z podtytułem książki „Nauka o przedsiębiorstwie", to zdaje się, nie pozostawia najmniejszego cienia wątpliwości, że książka uczy o przedsiębiorstwie kapitalistycznym i temu przedsiębiorstwu jest poświęcona.

W jaki sposób autor uzasadnia te swoje dosyć „oryginalne" tezy? Czyni on to dosyć prosto, rzekłbyś niemal prostacko. Odmawia po prostu przedsiębiorstwom uspołecznionym wszelkiej racji bytu. Jak wiadomo każdemu, czasami niezbędne jest istnienie przedsiębiorstw uspołecznionych, które nie dają zysku a nawet przynoszą deficyt. Nikt rozumny nie zaproponuje np. zlikwidowania kolei państwowych, tylko dlatego, że inwestycje pochłaniają tam całą nadwyżkę i nawet wymagają dopłat ze skarbu państwa. To samo może mieć miejsce z gazownią lub elektrownią tego lub owego okręgu. Przedsiębiorstwa te nie znajdują, niestety żadnej łaski w oczach autora. „Jednostki publiczne — poucza on — nie mogą łudzić swym rzekomym charakterem jednostki użyteczności publicznej, wystarczy zadać pytanie, czy odnośną jednostkę warto prowadzić w formie publicznej nawet wówczas, gdy zawsze (?) będzie przynosiła straty" (str. 113).

Ale nawet przedsiębiorstwa publiczne mające dochód, nie są o wiele lepsze. Przede wszystkim „kapitał społeczny, ściślej państwowy" — proszę zwrócić uwagę na terminologię, która określa uspołecznioną produkcję — jako „kapitał społeczny", „ściślej (?) państwowy" — może się okazać gdzie niegdzie i niekiedy bezwzględniejszym od prywatnego" (str. 160). Dalej autor wyjaśnia to bliżej, twierdząc, że obniżają poziom urządzeń, świadczeń etc., „będzie kapitał państwowy usiłował przeciwdziałać za pomocą obniżania płac pracowników, bo to jest najłatwiejsze" (str. 160), aby zrównoważyć swą kiepską gospodarkę.

Wydaje mi się, że polemika z podobnymi, pożal się Boże, tezami, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, oznaczałoby zupełny brak szacunku dla czytelników. Wystarczy przytoczyć je in extenso by udowodnić ich niedorzeczny i oszczerczy charakter.

Czując słabość swojej „argumentacji" nasz autor stara się zarzuty przeciwko uspołecznionej produkcji podmurować „teoretycznie", orzekając chociażby tak: „kapitał społeczny będzie zapewne bardziej skory do inwestycji, i to aż tak skory, że przesłanek inwestycyjnych, dotyczących rentowności, okresu amortyzacji itp., faktów, mających decydujące znaczenie dla postępu, niezależnie od czasu, miejsca i ustroju gospodarczego, nie będzie obliczał dostatecznie skrupulatnie".

W rezultacie tego nieskrupulatnego obliczenia przesłanek itd.: „traciłby zatem kapitał cenną zaletę: zdolność odradzania się w płynnej formie, co wyraziło by się w zmniejszaniu dochodów, czyli ogólnym ubożeniem" (str. 159—160). Dlaczego „kapitał społeczny" nie będzie obliczał dostatecznie skrupulatnie, tego autor nie wyjaśnia. Zarzuty te, trzeba to stwierdzić, nie są umotywowane. Praktyka Związku Radzieckiego i tych krajów, które prowadzą gospodarkę planową, walcząc o niskie koszty własne i o gospodarkę oszczędną a zarazem rentowną, stanowi żywe zaprzeczenie tez autora. Z drugiej strony, praktyka pokazała, że nie ma bardziej rozrzutnej gospodarki od kapitalizmu, który skazuje najważniejszą „przesłankę inwestycji", t.j. człowieka, na bezrobocie i niszczy masowo w czasie kryzysów i wojen imperialistycznych środki produkcji. Z czego więc wynika, że ogólne zubożenie nie jest rezultatem kapitalistycznych kryzysów nadprodukcji, eksploatacji robotników, działalności karteli i trustów, lecz.... utraty cennej zalety kapitału do odradzania się w płynnej formie?

Jak widzimy, autora cechuje głęboka, a z burżuazyjnego punktu widzenia nawet uzasadniona, niechęć do gospodarki uspołecznionej. Nie żałuje tedy wysiłku, aby przedstawić ten ustrój w możliwie najczarniejszych barwach. „Trzeba stwierdzić — mówi — że pod wpływem teorii liberalno - demokratycznej (?) zapoczątkowanej z końcem XVIII wieku, a zaktualizowanej w całej pełni, w czasach powojennych, nastąpiło w przeciętnej jednostce gospodarczej, powojennej rozprężenie, sygnalizujące upadek, nienawiść klasową, zawiść gorzej wynagradzanych w stosunku do lepiej płatnych, wyjałowienie ideowe... a w następstwie tych przesłanek gwałtowne starcia na terenie jednostek gospodarczych, wywołane rozbudzaniem namiętności — oto groźne objawy tego rozprężenia". (str. 71—72).

Czyżby dla ludzkości już nie było żadnego ratunku? Na szczęście, okazuje się, że nasz autor, ma gotową receptę. Trzeba, mianowicie ustalić normy moralne, „które by nakazywały człowiekowi określone a społecznie pożądane zachowywanie się" (str. 72). Rozwijając tę głęboką, a jakże nową myśl, p. Lisak stwierdza, że: „Bezspornym jest fakt, że normy religijne najdłużej, najskuteczniej, najpowszechniej i najniezawodniej, jak dotąd przynajmniej, pełniły rolę norm bezwzględnie obowiązujących, zapewniając tym samym trwałość egzystencji społeczeństwa". Wszystkie inne usiłowania (oprócz norm religijnych — uwaga nasza), — twierdzi szanowny autor, „są dopiero obietnicami, których nie udało się zrealizować (str. 72).

Jak na ekonomistę, jest to dosyć oryginalne i rzadko spotykane podejście. Stanowi ono niewątpliwie osobistą zasługę autora „Ekonomii jednostkowej". Wartość tego sposobu oświetlania zjawisk, jest tym większa, że... autor bynajmniej nie upiera się przy nim. Uważa on, że „rozmaitość użytych metod nie tylko ożywia (!) przedmiot, ale przyczynia się do głębszego.... poznania (str. 26). Zgodnie z tym, przypisuje on „intuicji" duże znaczenie w odpowiednim ujmowaniu zagadnień ekonomii jednostkowej", (str. 26). Gdyby ktoś miał jakie zastrzeżenie do tej „metody", to p. Lisak gotów jest i z niej zrezygnować. „Kto nie wierzy w intuicję, która często jest czynnikiem nieuchwytnym i darem wrodzonym".... może od biedy... „przyzna duże znaczenie bezpośredniej i praktycznej działalności". Trudno spierać się z tak na wszystko zgadzającym się autorem.

* * *

Zdumiony czytelnik miałby prawo zapytać, w jakim celu kształci się w dzisiejszej Polsce młodzież w duchu kapitalizmu i dla potrzeb przedsiębiorstw kapitalistycznych? I na te pytania autor ma gotową odpowiedź, która da się ująć w następujących punktach:

Po pierwsze: kapitał jest wieczny i nic go nie jest w stanie zniszczyć. **„Dochodzimy do wniosku, że koniecznymi elementami w budowie każdej jednostki gospodarczej jest tylko kapitał i człowiek"** (str. 144, podkreślenie tu jak i w całym artykule — p. Lisaka).

Po drugie: krytyka i nienawiść do kapitału ze strony klasy robotniczej nie jest bynajmniej dla kapitału groźną. „I dlatego kapitał żadnego ruchu społecznego czy gospodarczego, choćby najbardziej fanatycznego, nie traktował w grucie rzeczy całkiem serio" (str. 156). Tym bardziej, że „nienawiść do kapitału odczuwa człowiek dopóty, dopóki sam nie posiądzie kapitału i z chwilą, gdy się to stanie, automatycznie zmienia się jego usposobienie"... „Jest to zjawisko — stwierdza p. Lisak, prawdopodobnie na podstawie głębokiej obserwacji — bez wyjątków" (str. 155). Jest to więc zwykła zazdrość, która niczego pozytywnego stworzyć nie może i dlatego groźną nie jest.

Nic dziwnego, że dr Lisak nie wyklucza możliwości odrodzenia kapitalizmu. „Możliwe jest też — pisze, iż obecny wzrost kapitalizmu publicznego, jest tylko przejściowy, jak to już zresztą w historii bywało, po którym to okresie nastąpi znów odrodzenie kapitału prywatnego na wyższym poziomie"... (str. 161—162).

Tymczasem.... w oczekiwaniu na ten wyższy poziom prywatnego kapitalizmu, p. profesor, nolens - volens, musi korzystać z funduszy Ministerstwa Przemysłu, Wydziału Kadr Szkolnictwa Zawodowego w celu kształcenia młodzieży dla tych lepszych czasów i w zamian za to, godzi się on ostatecznie i w sposób ograniczony przez wiele zastrzeżeń, na uspołecznienie produkcji. Autor jest wprawdzie pesymistą, lecz i dla „pesymisty niechże będzie wybraniem z dwojga złego — mniejszego".... A w końcu, — zapytuje smętnie, — czy ludzkość ma obecnie wybór?" (str. 161).

* * *

W swojej dużej — bo liczącej 522 str. wielkiego formatu — książce, autor w poważnym stopniu uzupełnia braki dotychczasowej ekonomii politycznej i dokonywuje szeregu fundamentalnych odkryć naukowych. Tak np. co się tyczy genezy kapitału: „Ekonomia społeczna zna właściwie tylko jedno źródło tworzenia się kapitału a mianowicie pracę i oszczędność". (Niech nam wolno będzie stwierdzić w nawiasie że szanowny autor pomylił się albowiem praca i oszczędność stanowią dwa źródła a nie jedno). „Tymczasem ekonomia jednostkowa zna szereg dróg dopływu kapitału do poszczególnych jednostek gospodarczych: spadkobranie, darowizna, wygrana, spekulacja, kradzieże, znalezienie, nie mówiąc już o całym bogatym arsenale środków kredytowych" (str. 15). Oczywiście dr Lisak wyliczając wszystkie te źródła, zapomniał widocznie o jednym, naszym zdaniem, nie mało ważnym źródle powstawania kapi-

*) Na marginesie książki dr Józefa Lisaka: „Ekonomia Jednostkowa. Nauka o przedsiębiorstwie".

**) Posiada już dwa wydania.

tału, a mianowicie..... o eksploatacji klasy robotniczej.

Charakteryzując kapitał, autor znajduje w nim nowe i nieznane dotąd cechy. Być może, że jest to jego własny wkład w rozwój nauki ekonomicznej. Okazuje się, że „kapitał budzi wielką pożądliwość u przeciętnego człowieka, a wielu widzi w nim cel wszystkich zabiegów i cel życia w ogóle" (str. 155).

Na zakończenie chcielibyśmy dodać kilka, skromnych uwag i pytań. Niechże sobie ktoś, jeżeli już absolutnie nie może się powstrzymać, pisze tego rodzaju „dzieła". Może to być jego sprawą osobistą. Ale absolutnie nie możemy zrozumieć, dlaczego „Wyższe Studium" w Katowicach, które chce uchodzić za poważną uczelnię i prawdopodobnie nie ma zbyt wiele pieniędzy, wydaje takie książki na swój własny koszt? Nie rozumiemy też dlaczego studenci powołanej do poważnych zadań uczelni, muszą wykuwać na pamięć wyżej przytoczone tezy i idee p. dr Lisaka? I czy nie byłoby słusznym, ażeby „Ministerstwo Przemysłu, Departament Kadr — Szkolnictwo Zawodowe", chociaż od czasu do czasu i chociaż jednym uchem posłuchało, czego uczą niektórzy wybitni uczeni o lokalnej sławie. **if**

PRZEGLĄD PRASY

SPRAWY teatru, jako instytucji kulturalnej, a także sprawy teatru w zakresie „czterech ścian" sceny, wysunęły się ostatnio na czoło dyskusji, toczonej właściwie od trzech lat na temat polityki kulturalnej w Polsce. Nic dziwnego — teatr w Polsce w mniejszym może stopniu niż którakolwiek z innych dziedzin sztuki uległ zmianom, które nowa ekonomiczna i społeczna formacja naszego kraju pociąga za sobą w praktyce literatury, plastyki, muzyki, architektury. Niech się nie oburzają teraz na mnie „klerkowie", gdy powiem, że te zmiany są oczywiste i konsekwentne. Niech mnie nie kamienują „społecznicy", gdy powiem z kolei, że nad tymi zmianami trzeba panować, że nie wystarczy chcieć przystosowania literatury, malarstwa, teatru czy muzyki do potrzeb aktualnych, ale że jednocześnie pamiętać należy o wewnętrznych prawach każdej z tych dziedzin intelektualnej działalności człowieka.

Sprawa teatru, jak mi się to wydaje po lekturze licznych wypowiedzi i artykułów regularnie pojawiających się w pismach polskich, znajduje się jeszcze w tym stadium, gdy nie mamy potrzeby dowodzenia, iż dokonując zmian, należy pamiętać o prawach wewnętrznych teatru. W plastyce np. wyżej wysunięte przeze mnie obustronne zastrzeżenie okazało się w praktyce słuszne. Stawiając granice „formalizmowi" z jednej strony, nie zaniedbując wykorzystania wszystkich elementów. odkrytych przez sztukę nowoczesną z drugiej — plastycy, którzy opracowali Wystawę Wrocławską, kierując się jednocześnie potrzebami, wynikającymi ze zmian, jakie zaszły w strukturze naszego kraju, uzyskali zwycięstwo podwójne, społeczne i artystyczne.

Ale w teatrze sprawy, jak sądzę, są jeszcze nie tak dojrzałe. Jeszcze trwa w naszych teatrach kult „kasowości", jeszcze pokutuje wiara w to, że bezwartościowa komedia muzyczna ze wstawkami aktualnymi lub nawet bez nich to właśnie „teatr dla mas", że teatr klasyczny jest teatrem elitarnym, że komedia mieszczańska z końca wieku jest teatrem rewolucyjnym etc. etc.

Być może — wiele zmienia się na lepsze, ale bądźmy szczerzy i powiedzmy od razu, iż jeśli się tak dzieje, to jest to zasługą kilku teatrów zaledwie. W tym stanie rzeczy działalność pism poświęcających swoją uwagę wyłącznie sprawom teatralnym jest szczególnie ważna. W nich bowiem muszą zostać przedyskutowane i wyczerpująco omówione zadania naszych scen. Wyobrażam sobie, że głównymi tematami tych dyskusji powinny być kwestie takie, jak np. stosunek do teatru klasycznego, sprawa komedii mieszczańskiej, sprawa t.zw. lekkich widowisk, sprawa sztuk współczesnych, sprawa scen eksperymentalnych, teatr niezawodowy, doniosłe znaczenie artystycznej recytacji wiersza i prozy poza sceną — wysuwam punkty interesujące mnie jako literatura, nie wątpię, że ludzie teatru dorzucą do nich mnóstwo innych, dotyczących zagadnień reżyserii, sztuki aktorskiej, dekoracji etc.

Wśród pism teatralnych, których w obecnej chwili mamy w Polsce trzy („Teatr" „Łódź Teatralna", „Listy z teatru") jedynie „Teatr" wydaje mi się tym pismem, na którego łamach dyskusje takie winny być prowadzone. Wydaje mi się tak dlatego, iż „Teatr" skupił już wokół siebie wszystkie prawie kompetentne w sprawach teatralnych pióra. Nie znaczy to bynajmniej, iż pozostałe pisma nie mogą lub nie powinny występować z własną inicjatywą. Im szersza będzie taka inicjatywa, im więcej zostanie podanych propozycji, im więcej usłyszymy głosów, tym lepiej dla teatru w Polsce.

Widocznie owe zainteresowania teatralne są silne i trwałe, oto bowiem w październiku ukazało się nowe pismo poświęcone tym sprawom, „Echo Teatralne i Muzyczne". Miesięcznik ten ukazuje się w Poznaniu, a jego wyznanie wiary brzmi następująco: „Czasopismo ...służyć będzie zagadnieniom nowego, postępowego teatru, nowej muzyki i świadomej, twórczej krytyki". Wśród materiałów pierwszego numeru znalazłem artykuł J. N. Millera o Fredrze, który czytałem już przed dwoma zdaje się laty w innym piśmie. Miller rozprawia się z Fredrą dość bezceremonialnie i krótkowzrocznie, przedstawiając go wyłącznie jako przedstawiciela „interesów, ideałów moralnych i smaku estetycznego ziemiaństwa", zapominając, że z takiego punktu widzenia — moim zdaniem i ograniczonego, i niezgodnego z humanistycznym pojmowaniem literatury, Fredro ośmiesza wady swojego czasu, jako pisarz satyryczny. Komedie Fredry nie są idealizacją ziemiaństwa, ale oczywiście nie mogą być apoteozą rewolucji, to chyba jasne. Żądajmy od pisarza tego co dać może, a nie tego co chcielibyśmy czytać w jego dziełach po kilkudziesięciu latach. Rewizjonizm J. N. Millera wydaje mi się wcale niepożyteczny. Wprowadza zamęt w tak doniosłej sprawie jaką jest stosunek do klasyków naszej literatury. Z równym powodzeniem można wysuwać pretensje do Słowackiego, Mickiewicza, czy Norwida. Rzecz jednak polega nie na pretensjach, lecz na wyjaśnianiu wartości naszych klasyków, na wskazywaniu zarówno zalet jak i wad literatury narodowej. Tylko bowiem w oparciu o dobrze przemyślaną tradycję literatury polskiej i światowej możemy budować ją dalej, zgodnie z naszą epoką. Odsyłanie Fredry na grzybki tu nie pomoże, jak również nie pomoże ocenianie humoru Szekspira i Moliera z punktu widzenia bergsonowskiego „Śmiechu". Zgody z współczesnymi normami społecznymi żądać można co najwyżej od współczesnej literatury, przeszłość — jak sądzę — należy oceniać w jej właściwych kategoriach. Wyrzekać się Fredry — dlatego, że nie pokazuje on tego, co być powinno, lecz daje karykaturę tego co było wydaje mi się nonsensowne. Nonsensem również wydaje mi się, że J. N. Miller uważa dzisiejszego widza za tak mało wyrobionego i tak ograniczonego, iż może przypuścić, że „Teatr, który wystawia obecnie sztuki tego rodzaju (sztuki Fredry — przyp. ph.) powinien się liczyć także z możliwością czynnej reakcji ze strony nowoczesnego uczestnika widowiska teatralnego...", który „zechce może z góry, by dać ujście piętrzącej się w nim do ucieleśnień woli wyrazu, zabezpieczyć się w cuchnące jaja lub bomby łzawiące..." Zaiste, przez czarne okulary patrzy J. N. Miller na widownie teatrów polskich w roku 1948. Osobiście jestem pewien, że — wyrażając się stylem p. Millera — „nowoczesny uczestnik widowiska teatralnego" nie obrzuci sceny zgniłymi jajami nie tylko podczas przedstawienia fredrowskiego, ale nie da nawet — wciąż cytując p. Millera — „ujścia piętrzącej się w nim do ucieleśnień woli wyrazu" i nie rzuci bomb łzawiących nawet wtedy, gdyby wystawić poemat dramatyczny Jana Nepomucena Millera pt. „Erynie". **ph.**

KORESPONDENCJA

Szanowny Panie Redaktorze!

W nrach 36 i 41 „Kuźnicy" ukazały się interesujące felietony o Teatrze Krakowskim pióra p. Stefana Flukowskiego, kierownika literackiego Teatrów Krakowskich w sezonie 1946—47 r. i autora dramatycznego. P. Flukowski popełnił jednak kilka nieścisłości, które w interesie czytelników „Kuźnicy" należałoby sprostować. A zatem m. in.:

1) Na konkursie szekspirowskim został zakwalifikowany do finału i wystawiony w Państwowym Teatrze Polskim w Warszawie „Sen nocy letniej" Szekspira w mojej inscenizacji, a nie „Wieczór Trzech Króli".

2) „Wieczór Trzech Króli" w studio MCHAT wystawiony był na scenie obrotowej w formie ruchomej karuzeli. Kto widział moją inscenizację tej sztuki na kilka lat przed wojną w Poznaniu i ostatnio w Katowicach i Krakowie, bez trudu dojdzie do wniosku, że moje opracowanie opiera się na innej zasadzie.

3) „Owcze Źródło" w inscenizacji krakowskiej, zostało zagrane od początku do końca według tekstu, który napisał Lope de Vega. Dość zabawnie przedstawiają się zatem pretensje literata i dramaturga, że reżyser uszanował tekst głośnego, hiszpańskiego autora, nie wprowadził żadnych zmian i nie dopisał niczego nowego

4) Spostrzeżenie, że „książęta i królowie" w moich realizacjach „wychodzą pociągająco dla wzroku i przekonywująco dla wyobraźni", jest całkiem subiektywne. Nikt dotąd czegoś podobnego w moich inscenizacjach **nie** zaobserwował.

Proszę Panie Redaktorze przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku

Bronisław Dąbrowski

DO REDAKCJI „KUŹNICY"

W artykule moim „Myśli o literaturze rosyjskiej XIX wieku" („Kuźnica" nr. 42) popełniłem błąd, podając tytuł „Hamlet mceńskiego powiatu", jako tytuł opowiadania Iwana Turgieniewa. Tytuł ten brzmi „Hamlet powiatu szczygrowskiego". Istnieje natomiast opowiadanie Leskowa „Lady Makbet mceńskiego powiatu". Jak więc z tego wynika błąd mój mogę usprawiedliwić jedynie wadą mnemotechniczną.

Paweł Hertz

Noty

Stara gwardia...

Czas płynie szybko, dlatego może za krótki okres pokuty dla zbrodniarzy wojennych. Zaczynają już wychodzić na wolność. Nie zapominajmy o tym, że od chwili zakończenia wojny upłynęło już ponad trzy lata, a wyroki trybunałów międzynarodowych wobec zbrodniarzy wojennych opiewały częstokroć na terminy krótkie. Ci ludzie wejdą z powrotem w życie społeczne tam, gdzie istnieją dla nich po temu warunki: w Niemczech zachodnich. Są podobno oczyszczeni przez karę. Mogą zaczynać na nowo.

Ostatnio został zwolniony z obozu w Garmisch-Partenkirchen Wilhelm Bruechner, były generał SA, towarzysz ze starej gwardii Hitlera. W roku 1923 brał udział w puczu monachijskim, a 30 czerwca 1934 roku uczestniczył osobiście w prohitlerowskich mordach przy likwidowaniu grupy Rehma. Jako oficer starej gwardii stał się wreszcie polowym adiutantem Hitlera podczas ostatnich lat regime'u. Stara gwardia.

Opuszczając Garmisch - Partenkirchen Bruechner otrzymał 5.000 marek „zachodnich" drogą wymiany za stare marki, które złożył do depozytu, gdy został skierowany do obozu. Złożył również w prasie oświadczenie, że po kilku tygodniach odpoczynku w górach „spróbuje poszukać dla siebie stanowiska w przemyśle lub administracji".

Czas płynie szybko. Stara gwardia powraca.

O co tu właściwie chodzi?

Oto część tych formacji zostanie na pewno wcielona do czegoś w rodzaju „Czarnej Reichswery", formacji, która ukonstytuowała się już w r. 1919, po oficjalnym rozwiązaniu armii niemieckiej, reszta zaś zostanie odkomenderowana do walczącej Grecji celem wzmocnienia sił brytyjskich korpusu ekspedycyjnego w tym kraju.

Stara gwardia w nowych mundurach.

l.m.

Warte naśladowania

W sferach fachowych, księgarskich i literackich, mówi się, iż szeroka publiczność nie czyta nowel. Tak jest naprawdę.

Jeśli jednak chcemy upowszechnić istotną kulturę literacką, rozbudzić smak artystyczny, te opory muszą być przełamane.

Nowela — jest najbardziej dziełem sztuki w prozie.

Toteż w związku radzieckim tak właśnie upowszechnia się klasyków. Wydaje się masowo, w nakładzie 100.000 jednotomowe wybory pism mistrzów opowiadania. Są to albo dość duże i bardzo pakowne foliały, drukowane dwuszpaltowo (w cenie pudełka papierosów), albo częściej książki w formacie normalnej ósemki. Nigdy nie są to jednak małe, szkolne wybory, przydatne na lekcji, w których jednak „nie ma co czytać". Zwykle wydaje się tomy około 500 str. Prawdziwe książki do czytania. Książki dla dorosłych. Zawierają wybór najpiękniejszych opowiadań Turgieniewa, Lwa Tołstoja, Leskowa czy młodszych klasyków już radzieckiej literatury jak Gorkij, Serafinowicz.

U nas dotychczas ukazał się tylko jeden taki wybór Żeromskiego nakładem „Czytelnika".

A przecież czekają inni pisarze. Zbiorowe wydania (na które długo czekać), nigdy nie zastąpią takich wyborów, ułożonych ciekawie, z punktu widzenia nie historyczno - literackiego (jak w szkolnych autobiografiach), ale z punktu widzenia potrzeb i zainteresowań współczesnego, dorosłego czytelnika.

Należy pilnie wydać taki jeden tom Mochnackiego, (beletrystyczny wybór z historii powstania!), gawęd Chodźki i Rzewuskiego, pamiętników Fredry, opowiadań Skarbka, Kraszewskiego, Kaczkowskiego, Wiłkońskiego, a przede wszystkim nowelistów realistycznych i naturalistycznych Prusa, Sienkiewicza (ale żeby była „Ta trzecia", nowele mitologiczne...), Orzeszkowej, Dygasińskiego, Konopnickiej, Sygietyńskiego, Gomulickiego, essay'istów jak Boy'a - Żeleńskiego.

Muszą powstać polskie „najpiękniejsze stronice". Trzeba szeroką publiczność przyzwyczaić do czytania, krótkich utworów doskonałych pisarzy, do smakowania stylu, obrazu, doskonałości sztuki. Przez zbiorowe wydanie daleko jest trudniej nauczyć czytać klasyków.

Chociaż i tu przykład radziecki wiele mówi. Ukazuje się teraz jako biblioteka tygodnika „Ogoniok" (poziom naszej „Mody i życia" bez jej filisterstwa), pełne wydanie dzieł beletrystycznych Lwa Tołstoja w nakładzie 125.000 egzemplarzy — w cenie 1/3 pudełka papierosów za tom.

Do Polski dotarło już 7 tomów — nowele młodzieńcze, „Wojna i pokój", początek „Anny Kareniny". Kiedyż dojrzejemy tak kulturalnie, aby „Moda i życie" dla swoich czytelniczek wydała zebrane powieści i nowele Orzeszkowej? A może to już jest możliwe?

żłk.

W sprawie upowszechnienia sztuki

W pożytecznym tygodniku „Przyjaciółka" czytamy w korespondencji charakterystyczny list nauczyciela, kierownika szkoły, zawierający prośbę o umieszczenie w „Przyjaciółce" ilustracyj Andriolego. Ilustracje te — pisze ów pedagog — „spopularyzowałyby dzieła Mickiewicza ...i ułatwiłyby pracę nauczycielstwu na wsi przy przerabianiu „Pana Tadeusza" w 7 klasie". Z reprodukcyj zamieszczanych przez „Przyjaciółkę", pismo wychodzące w nakładzie około miliona egzemplarzy, nauczyciele prowincjonalni tworzą „albumy arcydzieł malarstwa — cenną pomoc przy nauczaniu w szkole". Notujemy ten głos. Jest on dowodem jak bardzo brak popularnych wydawnictw z zakresu sztuki. Sądzimy, że wydanie albumu rozsądnie wybranych dzieł sztuki polskiej i zagranicznej, bez pomijania zdobyczy sztuki nowoczesnej, miałoby wielki wpływ wychowawczy, kształtowałoby zainteresowania artystyczne i smak szerokich rzesz ludowych, wpłynęłoby dodatnio na rozwój przyszłej sztuki w Polsce. Wydanie takiego albumu czy albumów w masowym nakładzie, z przeznaczeniem dla szkół i świetlic pokryłoby może nakład wydawnictwa. A jeśli wymagałoby nawet specjalnego funduszu, należy takie wydawnictwo poprzeć. Bez konkretnej pracy nad upowszechnieniem dóbr kulturalnych, sprawa upowszechnienia ich pozostanie na papierze.

Byłoby źle, gdyby ilustracje z „Przyjaciółki", bardzo nierównej wartości, miały jedynie zaspakajać głód sztuki na prowincji.

Pożyteczne mogą być również wystawy objazdowe. Jak dowiadujemy się, w tym roku zorganizowane zostały takie właśnie wystawy, przeznaczone dla miasteczek, osiedli robotniczych i wsi. Oczywiście, nie mogą one zastąpić trwałego wydawnictwa, zaopatrzonego w odpowiedni zarys historyczno-informacyjny i komentarz. m. j.

Zasługi wydawców

Teodor Tomasz Jeż, był pisarzem zapomnianym niesłusznie w latach międzywojennych. Obecnie nadszedł czas zrewidowania niektórych okresów w historii naszej literatury. Szczególnie zasługuje na to proza polska w wieku XIX z której, poza dziełami wielkich pozytywistów, znamy tak niewiele. „Czytelnik" wydaje z kolei czwartą książkę Jeża — „Ci i tamci", zaopatrzoną w obszerny słownik wyrazów staroświeckich lub rzadko spotykanych.

Przy okazji chciałbym zwrócić uwagę wydawców na bardzo ciekawą quasi — powieść Jana Czyńskiego „Cesarzewicz Konstanty i Joanna czyli Jakobini polscy" (Lipsk, Brockhaus, 1876, Biblioteka pisarzy polskich, tom LXXIII).

Wobec szczupłej ilości dzieł i opracowań, dotyczących dziejów literatury polskiej należy wymienić dwie, niedawno wydane prace Wiktora Hahna — „Juliusz Słowacki w r. 1848", (Wrocław, 1948, odbitka z „Sobótki") oraz „Karol Szajnocha, jako autaor dramatyczny", nakładem Ossolineum, Wrocław 1848 r.

W „Nowej Bibliotece Wiedzy", przeznaczonej do użytku szkolnego ukazały się „Dziady", część I. II i IV w starannym opracowaniu i z komentarzami Henryka Szypera.

Nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego, w wydaniach oddzielnych ukazały się dwa dzieła Stanisława Wyspiańskiego — „Wyzwolenie" i „Noc listopadowa".

Szkoda, że zarówno „Nowa Biblioteka Wiedzy" jak i pojedyńcze edycje Wyspiańskiego w PIW o tyle ustępują pod względem szaty graficznej zarówno „Bibliotece Narodowej", jak choćby i „Bibliotece pisarzy polskich i obcych", wydawanej przez „Książkę". **ph.**

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik"
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 204-75
CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpalte 40 złotych.
WARUNKI PRENUMERATY:
Miesięcznie zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960.—.
Należność za prenumeratę należy wpłacać do P. K. O. konto VII—567 „Prenumerata Kuźnicy".
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, żwirki 2.
D—030348